

– Słucham pana...? – zwrócił się w moją stronę sprzedawca, ale nic więcej nie powiedział, ponieważ silnie kopnąłem go kolanem w podbrzusze.

– Dawaj telefon! – syknąłem.

Poprawiłem pięścią w spłot słoneczny i pomogłem trafić siedzeniem w krzeselko.

Łapał rozpaczliwie powietrze i usiłował zwinąć się w siedzący kłębek, gdy chwyciłem leżący na stoliku smartfon.

– Wpisuj kod, bo złamię ci rękę – szepnąłem.

Wpisał.

Ostatnie telefony.

Ostatnie esemesy:

Mam ciekawy dokument od Czakrama. Ostatnia wola Kopernika albo coś takiego. Cena ta co zawsze plus dwieście, ale szybko!

Galeria?

Nie, nie zrobił zdjęcia dokumentu, wysłał tylko esemesa. Uff!

– Cena ta co zawsze, tak? – spytałem. – Nie tym razem. Cena za zdradę zawsze jest wysoka.

Schowałem telefon do kieszeni. Czakram będzie ciekaw, z kim koresponduje jego od dziś już zupełnie niezauwany człowiek z Kleparza. Robię w kulturze, rozumiecie, taki lajf.

SKĄD KOPERNIK WZIĄŁ KOKOSA?

Pan Czakram jest starym dziurawym dzbanem. Wszystko straci, kontakty, rynek, wszystko. Ponawiam propozycję. Dołącz do zwycięzców, Erbacher – tak mniej więcej brzmią pozdrowienia od Mario, szefie!

Nie minęło półtorej godzinki od dramatycznych zajęć na kleparским targowisku, a znów siedzieliśmy w Café Szafe. Kraków ma jedną zaletę – wszędzie jest blisko. Chyba że umawiasz się w Nowej Hucie. Wtedy nie za bardzo.

Tym razem mieliśmy towarzystwo w postaci rachitycznego studenta podrywającego przy kawie piękną koleżankę oraz – w przeciwległej szafie – trzech nastolatek w wieku mniej więcej Zakały. Zachichotały się na śmierć nad smartfonami i porcjami sernika. Same próbowały się nawzajem uciszać, ale było to równie urocze co nieskuteczne. Za to znakomicie wypełniało hałasem przestrzeń pomiędzy stolikami. I szafami.

Podąłem Czakramowi kopertę oraz smartfon sprzedawcy z Taniego Czytania.

– Kod 090807 – uzupełniłem informacje. – Chyba nie poczytamy sobie dziś do poduszki, co, Czakram?

– To ciacho przebrane za księdza strasznie dużo wie o wszystkim – włączyła się do rozmowy Zakała. – Czy możliwe, że znowu nas śledził?

– Przeskanowałeś wóz? – spytał mój niewyglądający na handlarza dziełami sztuki szef.

– Jasne. Jeszcze raz zrobiłem to w Gdańsku i tutaj znowu, już w Krakowie. Twoim skanerem, pamiętasz? Czysto.

– Skurrrr... – Czakram cicho, lecz dobitnie, przekazał emocjonalne przesłanie bliżej nieokreślonej liczbie nie lubianych osób. – Ja im pokażę, kto tu traci rynek...

– Nic nikomu nie pokazuj! – warknąłem cicho. – Przecież o to właśnie chodzi. Mario nie dostał fantu, więc postanowił ci dowalić ambicjonalnie. Wiedział, że ci powtórzę. Nie rób żadnych nerwowych ruchów. Zawsze powtarzałeś, że nerwowe ruchy w tej branży to niepotrzebne ryzyko.

Czakram sapnął, wypuścił powietrze nosem, jakby był bykiem na korridzie. Przyglądał rzadkie włosy nad czołem. Popracował nad oddechem jak rodząca kobieta i wyraźnie spadło mu ciśnienie.

– Zdrady nie wybaczam. Ten złamas z kiosku już się tego domyśla. Dzięki, Miłosz, za jego telefon. Teraz być może do wiem się, w którą stronę wyciekało ze starego dzbana. A list i tak przeczytam do poduszki. Zajmę się tym osobiście. W kontakcie!

Wyszedł, nie tknąwszy nawet zamówionej kawy. Z czego skwapliwie skorzystałem.

– Skoro jesteśmy w Krakowie, stolicy małopolskich oraz światowych kulinariów, to może zjemy jakiś dobry obiad? – zaproponowałem córce.

– Maczek albo pizza? – ucieszyła się Zakała. – Mijaliśmy tu niedaleko pizzerię, pamiętasz?

– Miałem na myśli dobrą żydowską kuchnię na Kazimierzu albo...

– To sobie zamówisz żydowską margheritę, Ded.

– Dobrze, Zakała. Poproszę o taką z podwójną macą.

Nie powiem, świetnie spędzaliśmy czas w Królewskim Mieście Stołecznym, jak krakusy lubią nazywać swoją małą ojczyznę. Osobiście, jako warszawiak od pokoleń, zgadzam się z poglądem, że przeniesienie stolicy do Warszawy było dziejową niesprawiedliwością. Komu to przeszkadzało, żeby było po staremu? Mieliby teraz metro. Parlament i ministerstwa. I prezydenta. Oraz antyrządowe manifestacje. I może nawet – w historycznym portfolio patriotycznym – powstanie krakowskie 1944? A tak to wszystko dostało się nam. Nie wiadomo po co. No dobrze, ostatnia refleksja nie dotyczy metra.

Pizza była świetna. W końcu ruszyliśmy się z restauracji, żeby wyprowadzić na spacer puste i tłuste kilokalorie.

Eseses. Czakram.

Paczkomat Inpost. Dajwór. Kod 334812.

– Co to jest Dajwór?

– Nazwa ulicy – uśmiechnąłem się. – Fajna, nie?

– Nie kumam. Co w niej fajnego? – Zakała wyduła pogardliwie wargi.

– Dawno temu była to zapadła uliczka okrążająca żydowskie miasto Kazimierz. Zaułek za murami miejskimi, ciemny, niebezpieczny i okryty złą sławą. Szłaś sobie i nagle dopadały cię ciemne typy, wrzeszcząc: „Daj wór!”. No i uciekali w noc z twoim dobytkiem...

– Aha. Łapię. No to faktycznie, fajna.

Paczkomat posłusznie oddał paczkę. Była spora, nieco ciężka. Jakbym niósł komplet sztuców w neseserze.

Dobrze. Mam paczkę. I co?

Jakby na komendę piknęły esemesy.

*Pod Kopernikiem z kokosem. Twoja odpowiedź: z kosmosa.
???*

Też nie jestem pewien. To gdzieś na Podgórzu.

Czy wariat z Gdańska ma brata w Krakowie?

Blisko. Szukaj. Pamiętaj: fant za fant. Nie inaczej.

– Ded?

– Mamy nieprawdopodobne szczęście, Zakało. Znowu jakiś tata-wariata chce się z nami spotkać, musimy tylko znowu porozwijać szarady.

– To super, Ded. A co to są szarady?

– Zagadki, Zakało. Zagadki z piętrowymi niewiadomymi.

– Jestem w tym dobra, Ded, pamiętasz?

– Pamiętam. W każdym razie idziemy gdzieś, żeby dowiedzieć się, co zawiera tajemniczy dokument z Rondy. W tym celu musimy znaleźć to „gdzieś” i jakiegoś „kogoś”.

– Baza. Co mam robić?

– Gugluj, cyfrowa detektywko. Podaję kluczowe hasła: „Kopernik”, „kokos”, „Podgórze”, „rzeźba”, „pomnik”.

Smartfonowe badziewie sprzed lat miało powolny system operacyjny, ale jakoś ciągnęło tę sieć. Tyle że niczego nie złowiliśmy. No nie, skłamałbym. Hasło „Kopernik z kokosem” ujawniło istnienie pierników firmy Kopernik z nadzieniem kokosowym. Super, dzięki, wujku Google! *Bon appétit!*

Ruszyłem ku Wiśle. Zakała szła za mną, nie tracąc kontaktu wzrokowego, nadal usiłując wycisnąć coś z dotykowego ekranu.

Stanęliśmy na bulwarach. Dalszych esemesów nie było.

– Chodź, Zakała. Musimy poradzić sobie po staremu – westchnąłem.

Podążyliśmy Kładką Ojca Bernatka, uginającą się pod ciężarem tysięcy „love-kłódek” oraz udekorowaną realistycznymi postaciami linoskoczków kołyszących się na wietrze.

Cokolwiek miałem odnaleźć, Podgórze leżało dokładnie na drugim brzegu Wisły. W kilka minut dotarliśmy na podgórski rynek. Był nietypowy, o trójkątnym kształcie, zwieńczony najbardziej bajecznym, szopkowym, disneyowskim, krakowskim kościołem. Zawsze się zastanawiałem, czy krakowianie najpierw wymyślili swoje słynne świąteczne krakowskie szopki sklejone ze złotych i srebrnych papierków, a potem postanowili wybudować kościół w tym stylu, czy też najpierw stanął kościół, a potem uznano, że szopki powinny go naśladować?

– I co, Ded?

– Poczekaj. Koniec języka za przewodnika!

Podszedłem do dziewczyny z wózkiem dziecięcym. W końcu lokalsi chyba wiedzą najlepiej?

– Kopernik? Tu, na Podgórzu? Nie wiem. Nie słyszałam.

– Dziękuję i przepraszam.

Inna babka. Z zakupami. Miejscowa, jak nic.

– Przepraszam, czy gdzieś tu jest jakaś rzeźba Kopernika? A może szkoła imienia Kopernika? Coś związanego z Kopernikiem? Nie wie pani? Trudno, przepraszam.

Zakonnica. Zakonnice chyba wiedzą coś o obrotach sfer niebieskich. W końcu mentalnie przebywają blisko nieba...

– Siostro? Szczęść Boże! Przepraszam, znajomy się ze mną umówił, ale chyba mu się coś pomyliło. Kazał mi szukać Kopernika na Podgórzu...

Dobroduszne spojrzenie spod czarnego nakrycia głowy.

– Nie pomyliło się, proszę pana, na Golgotę pan idzie, tam, za kościołem. Na naszą narodową Golgotę, tam jest i Kopernik, i Pan Jezus, i nasz papież. I królowie, i aniołowie... O tam! Z Panem Bogiem!

– Z Panem Bogiem! Dziękuję! Dobrego dnia! – ukloniłem się siostrzyczce i odwzajemniłem uśmiech.

– Kopernik jest na Golgocie – poinformowałem Zakałą. – I nie, nie pytaj mnie, co to znaczy. Po prostu tam chodźmy!

Wspięliśmy się ku bajkowemu kościołowi, potem po schodach ku ogrodowi pełnemu rzeźb. Wypełniał zaciszną kotlinkę pomiędzy świątynią a stromymi skalnymi ścianami. Wśród drzew, pośrodku zielonej polanki, stała postać przypominająca Mikołaja Kopernika. Przypominała go głównie tymi puklami włosów. Postać trzymała w dłoniach orzech kokosowy albo piłkę do rugby i w zamyśleniu wpatrywała się w wierzchołki drzew, jakby zadawała sobie pytanie: „Skąd, na świętego Mikołaja, to spadło?”

– Ciekawe, skąd Kopernik ma kokosa? – spytał ktoś za naszymi plecami.

– Z kosmosa! – odparłem i odwróciliśmy się z Zakałą.

No jasne. Kolejny siwy gość, tym razem w drogim jak diabli oryginalnym letnim płaszczku Burberry, płóciennym eleganckim kapeluszu i z sardonicznym uśmiechem pod siwiuteńkim wąsikiem. Parasol pod pachą. Jasne. Dżentelmen na spacerze. Wstawał niespiesznie z fotela na wypoczynkowym zacisznym tarasie z widokiem na pomniczek.

– No i...? – spytałem po dłuższej chwili milczenia. – Konspirację mamy już za sobą?

– Ja swoje przyniosłem. A pan? – zagadkowo spytał Kapelusznik.

Wyjąłem pudełko spod pachy i postawiłem na ziemi.

Kapelusznik wyjął spod marynarki plik kartek porządnie zszytych zszywaczem i złożonych na trzy.

– Machniom? – zaproponowałem.

– Czy to jest na pewno to? – spytał, nie zmazując z twarzy kpiącego uśmiešku.

– Nie wiem, co tam jest – wrzuciłem ramionami. – Mojemu szefowi zależy, więc chyba jest to, co ma być.

– Przekaze pan łaskawie szefowi, że w mojej opinii nasz przyjaciel Mikołaj zdemenciał w ostatniej godzinie i nieco mu się myśli rozlały. – Kapelusznik podał mi kartki i jednocześnie nogą przesunął paczkę w swoją stronę.

– Na pewno wracał do pewnego ważnego przeżycia. Wspomnienia. Wielkich emocji. Gadał do siebie, więc używał skrótów myślowych. Wracał do czegoś, co nadal siedziało w jego wspomnieniach, w podświadomości. W mojej opinii to z pewnością ostatnie stadium wylewu, być może zmienne ciśnienie śródczaszkowe i jednocześnie szeroko opisanie klinicznie przedśmiertne ostrzeżenie zmysłów.



- W pańskiej opinii...? – zawiesiłem głos.
- Jestem neurologiem i anestezyjologiem z trzydziestoletnią praktyką w hospicjach! – obruszył się i fuknął na mnie. – Od razu widać, że pan nie z Krakowa!
- Zdawało mi się, że mój szef potrzebował tłumacza, a nie spóźnionej konsultacji medycznej – mruknąłem zrezygnowany.
- Bo jesteś pan ze wsi, a nie z Krakowa! Jestem tu najlepszym specjalistą od średniowiecznej łaciny i niemieczyny. Amatorsko, rzecz jasna! – tu Kapelusznik uchylił kapelusza. – Choć nie przeczę, ustawiają się do mnie w kolejce biblioteki i muzea z całej Europy! Odczytałem wiele dokumentów o światowym znaczeniu dla kultury.
- O kurde... – wyrwało się Zakale.
- Ten Giese używał czegoś na pograniczu wczesno-nowo-wysoko-niemieckiego z domieszką jakichś wcześniejszych dialektów. Natomiast, drogi panie, z łaciny dałbym mu dwa z plusem! To jest język mówiony, w dodatku kaleczony, a nie szlachetny pisany! Niby wykształcony gość, dwa języki, a w żadnym dobrze! No nic, kłaniaj się pan, panu Czakramowi. Dostał się bez kolejki i wierzę, że w pudełku jest to, o co poprosiłem!
- Ja także – ukłoniłem się dziwakowi. – Proszę jednak wybaczyć ciekawość. Czemu...
- Niech pan nie używa rusycyzmów! – zatrząsł się z oburzenia Kapelusznik. – „Czemu” to jest ruski grzyb na polskim mchu! „Dlaczego!” Wyłącznie „dla-cze-go”! „Z jakiego powodu?” „Czy pańskim zdaniem...?” „Co pana skłoniło do...” Wi-
dzi pan, ile mamy pięknych fraz w naszym języku?
- Jaaa... Ded, naprawdę to jest po rusku?

- Wybacz pan! – skłoniłem się z teatralną przesadą, jednocześnie hamując złe myśli o zamordowaniu Kapelusznika jego własnym parasolem. – Proszę nam łaskawie uchylić rąbka tajemnicy. Co pana skłoniło, by umówić się z nami akurat w tym miejscu?
- Bo takiego głupiego pomnika Kopernika w życiu nie widziałem – zachichotał Kapelusznik. – Wy pewnie także nie.
- My pewnie też nie. Tym niemniej zajrzyj pan do Krosna, wielce szanowny panie doktorze. Zobacz tam pan Kopernika stojącego w kiosku U-boota, jak salutuje komuś, kto spogląda ku niemu z pokładu krążownika – odpowiedziałem.
- Kapelusznik ukłonił się w podziękowaniu i uśmiechając się radośnie, energicznie zatarł ręce.

PRZYNAJMNIEJ KWESTIĘ TOMASZA MAMY WYJAŚNIONĄ...

A jednak Nowa Huta. Daleko. Jechaliśmy tramwajem w nie-skończoność. Czakram zażyczył sobie właśnie tam się z nami spotkać. Ledwie zasiedliśmy we wskazanej kawiarni, już przyszedł esemes, byśmy wychodzili i weszli w podwórko. Za przedszkolem miała stać błękitna furgonetka. Stała.

Wsiedliśmy bocznymi drzwiami. Wnętrze nieco nas zaskoczyło. Ktoś tu urządził całkiem przytulny pokoik. Burty chyba wyłożono drewnem i obito grubym zielonym sukniem, podłogę wyścielała wykładzina w podobnej tonacji. Znaleźliśmy się